

Od autora: To już druga część miłosnego cyklu, w którym zadaję pytanie, czym w życiu człowieka jest Przeznaczenie.

I czy każda miłość jest dobra - może wydawać się tak tylko z pozoru.

Zapraszam do czytania i dzielenia się refleksjami :)

- Dlaczego poroniłaś? – krzyczał, zataczając się po pokoju. – Przecież mieliśmy mieć jeszcze córkę. Spieprzyłaś wszystko! Idę do knajpy, nie chce mi się tu być.

Patrzyłaś w ścianę, jakby na niej rysował się obraz piękny i pełen radosnych blasków.

Ten uśmiech, który wówczas ujrzałem był czymś z pogranicza spokoju i pogardy, jak surrealistyczny wykwit, niewiele mówiący, jednak dający do zrozumienia bardzo wiele.

Bawiłem się żołnierzycami i co jakiś czas spoglądałem w twoje dziwne oczy, a te zdawały się patrzeć, lecz nie widziały niczego, co wokół fundował nieobliczalny świat w mętnej krasie szarej codzienności, w jakiej przyszło nam żyć, odkąd stary pokochał pocałunek butelki.

Czy to przez to, że taki był, czy też dlatego, że nie dałaś mu córki – trudno dziś rzec.

Dla mnie zawsze był zimnym, zakochanym w sobie pajacem, gościem w domu, kimś, kogo nie stać na dobre słowo, na czuły gest, na to, by dać najbliższemu poczucie bezpieczeństwa.

Od tamtego dnia, kiedy wyszłaś ze szpitala, zaczął znikać na całe dni i po powrocie, najczęściej pijany, padał ciężko w ubraniu na łóżko i zasypiał, nie czując na drugi dzień potrzeby jakiegokolwiek wytłumaczenia – ot, pan na włościach, król we własnym pałacu.

Dopiero po latach powiedziałaś mi całą prawdę o swojej utraconej kobiecości.

Kiedy mu powiedziałaś, że już nigdy nie będziesz mogła mieć dzieci, z dzikim błyskiem w oku wywrócił stół, i chwyciwszy krzesło, tłukł nim szaleńczo o podłogę tak długo, aż rozpadło się na dziesiątki kawałków.

Potem wybiegł, głośnie trzaskając drzwiami.

Z korytarza dobiegał tylko jego głos i stek przekleństw, które rzucał w przestrzeń.

Spałem z tobą, a ty w nocy często wstawiałaś, by przynieść mi szklankę wody, jakby od tego zależało moje małe życie, i nigdy nie zapomnę wdzięczności, jaką wówczas czułem.

Miałem wtedy koszmary, dlatego potrzebowałem twojej bliskości, tego jedyne ciepła, i tylko ty mogłaś mnie ochronić przed demonami, czającymi się w dziecięcej wyobraźni.

Nie dbałaś o to, że rano musisz wstać do pracy, liczyło się wyłącznie moje dobro.

Nie zarabiałaś wiele jako nauczycielka w szkole, ale miałaś klasę jak profesor uczelni.

Byłaś bardzo religijna i zawsze mówiłaś, że Pan nas nie zostawi, gdybyśmy popadli w biedę, że dla tych, którzy Go kochają jest jak najlepszy tatuś, miłosierny i wspaniałomyślny.

„Nie taki, jak ten, który tu mieszka” – pomyślałem.

Kiedy pewnego dnia usłyszałem tamtą rozmowę, stałem się natychmiast mężczyzną.

Od kolegów z podwórka wiedziałem już co nieco o sprawach damsko-męskich, więc wnet pojąłem sens jego słów: „Jesteś seksualną kaleką, nie chcę, byś zmarnowała mi życie”.

Potem widziałem go jeszcze trzy razy, po czym zapadł się na zawsze pod ziemię, trywialnie, jak trywialnie żył, i powoli pamięć gasiła po nim ostatnie światła.

Nigdy nie zapomnę lutego, tego zimowego miesiąca, kiedy poczułem prawdziwą ulgę.

Moja mała intuicja szeptała mi, że ta kanalia już nie pojawi się w naszym domu, i nie myliłem się: mijały miesiące i lata, których nikt nie zakłócał nam pijackimi awanturami, a on zdał się chorym zwidem, wytworem obolałej wyobraźni, snem, który przyśnił się komuś innemu.

Zawsze drugiego marca z kieszonkowych kupowałem ci drobny prezent urodzinowy.

Zależało ci, bym miał dobre stopnie, więc starałem się, jak mogłem, a ty miałaś zwyczaj nagradzać mnie pieniędzmi, bo wiedziałaś, że je lubię i będę chciał nazajutrz zjeść kilka hot-dogów u Dużego Mike’a, zaraz po szkole, jak ci, co pochodzili z bogatych rodzin.

Wkładałaś całe serce w to, bym nigdy nie czuł się gorszy, by moje poczucie godności własnej nie ucierpiało tylko dlatego, że nie przelewało nam się, jednak nie narzekałaś i cieszyłaś się każdą, małą chwilą, kiedy dawałem ci radość, bo i ja miałem pewność, że jesteś najważniejszą osobą w moim życiu, najpiękniejszym imieniem, jakie dane mi było poznać.

I jeśli na tamtym świecie zapytają mnie kiedyś, co z tego wszystkiego pamiętam, to powiem, że twoją uśmiechniętą twarz, pełną wiary, pewności i spokoju, to ją zabiorę w zaświaty.

Sprzedawałaś dom, bym miał na studia prawnicze na najlepszej uczelni.

Zamieszkałaś w małym, parterowym, jednoizbowym domku na przedmieściach miasta.

Nigdy nie widziałem cię w smutku, nigdy w zadumie, zawsze w radości i w wierze, że nasze losy potoczą się tak, jak najpiękniejszy scenariusz filmowy, nic nam już nie grozi – jeśli się wierzy w zwycięstwo, ono wcześniej czy później nadchodzi, tak ten świat jest urządzony.

I ja tak na to patrzyłem – miałem pewność, że wszystko dobrze się ułoży, że nic nie stanie na drodze, bo wiara czyni cuda, więc trzeba tylko wierzyć, by osiągnąć szczyty.

Wzięłaś kredyt, bym miał swojego, pierwszego potwora – mały kabriolet, który potrzebowałem, by do końca zagłuszyć wspomnienie biedy i imponować dziewczynom, co od tej pory miały być pasażerkami, choć sam nie wiedziałem, czego od nich oczekiwałem i co tak naprawdę chciałem udowodnić.

Było ich wiele, lecz wiele z tego nie wynikało.

Lubiły przejażdżki, ale jakoś ja nie chciałem tego ciągnąć, nie wiem czemu, po prostu przychodziły i odchodziły, jak pory roku, jak zmienność rzeczy.

Mało mnie to obchodziło, mało o tym myślałem.

Kiedy ciepły, lipcowy piasek pieścił nasze stopy, myślałem o tobie.

Na plaży, gdzie byłem z... nieważne, z kim.

Gdy szedłem z inną parkiem, marzyłem, by być już w domu.

Jak miała na imię?

Wyleciało mi drugim uchem.

Podczas przejażdżki bulwarem nie mogłem znieść faktu, że to nie ty siedzisz koło mnie.

Czułem czyjąś dłoń na karku i spojrzenie, którego nie umiałem odwzajemnić.

I w duchu szeptałem: „Helen, Helen...”

I w chwili, kiedy wchodziłem do małego, żółtego domku, za drzwiami pozostawiałem z ulgą niedorzeczny świat, te wpatrzone we mnie puste twarze dziewczyn, liczących na coś więcej, byłem już w twoim świecie, maleńkim, wyśnionym i niezastąpionym, nienazwanym.

I spoglądałem szczęśliwy na drobne dłonie przygotowujące kolację.

I stawał czas, jakby się nigdy nie narodził, i był tylko piękny, magiczny *constans...*

Pytałaś: „Czy masz już jakąś narzeczoną?”

Odpowiadałem: „Nie potrzebuję póki co”.

Nalegałaś: „Ale jesteś taki młody, taki przystojny”.

Mówiłem: „Są dla mnie jak powietrze”.

Pewnego dnia zabrałem cię kabrioletem nad potok, pokazać pstrągi agresywnie wychodzące do jętki tak żarłocznie, że można było mieć niezłe widowisko, oglądając ryby w akcji.

- Jakie one piękne – powiedziałeś.

- Mam wędkę w bagażniku, złowię kilka – odparłem, po czym po chwili byłem już gotów do łowienia.

- Nigdy ich nie jadłam. Twój ojciec był śmierzącym leniem, i pijakiem. A miał to wszystko pod nosem...

- Dziś wieczorem zjesz swojego pierwszego pstrąga, obiecuję.

- Dobrze, mały, złap mi je, wstyd, że w moim wieku nie znam jeszcze smaku ryb.

- Dziś wieczorem zrobię ci je na grillu, tym samym, który kupiłem u sędziego pana Adamsa, który właśnie miał urodziny i dał mi rabat.

- Tak, już czuję się głodna.

- Poczujemy, jak smakują zwykłe, ludzkie przyjemności.

- Jak smakuje radość życia.

- Jak to możliwe, że dotąd tego nie poznaliśmy?

- Czasem mamy pod górkę, czasem nic się nie układa.

- Tak, mamo, ale teraz już tak nie będzie.

- Wiem, mały, wiem, że przy tobie włos mi z głowy nie spadnie.

- Bo tylko przy tobie czuję szczęście, tylko przy tobie żyję.

- Szkoda, że twój ojciec taki nie był.

- To zwykły cham, ot co.

- Masz rację – przy tobie jest nikim.

- Jestem tylko twoim synem, i zrobię wszystko, byś była szczęśliwa.

Pamiętasz nasze dawne lata, kiedy chodziłem do podstawówki?

Byliśmy nierozłączni, bawiłaś się ze mną chętniej niż moi rówieśnicy, których tak naprawdę do końca nie rozumiałem, bo potrafili gadać źle na własne matki.

Ja wiedziałem, co to znaczy być kochanym, i wiedziałem też, co to znaczy kochać.

I gdy kopali bezrozumnie piłkę lub grali godzinami w kapsle, ja czekałem, aż wrócisz z pracy, by pograć ze mną w bierki albo w warcaby, a potem zjeść razem zapiekankę z żółtym serem i pieczarkami.

Od zawsze byłaś.

Najbliżej jak to można sobie wyobrazić.

I nic nie mogłoby tego zmienić, nic nie mogłoby wejść w to miejsce.

Ono było od wieków zajęte, dla ciebie, po czasie kres.

*Nie zjedliśmy tych pstrągów.
Tamtego wieczora nie zjedliśmy niczego.
Wszystko poszło nie tak, jak planowaliśmy.
Czasem Los płała okrutne figle, wbija nóż w plecy.
Rozpętała się niehumanitarna burza w chwili, gdy wracaliśmy do domu.
Zaparkowałem pod drzewami, otworzyłem bagażnik i wyjąłem ryby.
Ty wzięłaś wędki i ruszyliśmy w stronę drzwi.
Wtedy to się stało – nagle, jak piekielny śmiech najgorszego z diabłów.
Na śmierć zapomniałem o ostrzeżeniu zamieszczonym na kijach: mały zygzak, oznaczający piorun, czyli
ściągnięcie ich w czasie wylądowań.
W chwili, gdy otwierałem furtkę, usłyszałem zza pleców syk i odgłos ciężko upadającego ciała: kiedy
spojrzałem, tym, co ujrzałem, był lekki dym unoszący się nad tobą.
Skoczyłem w to miejsce i po sekundzie już wiedziałem, czasem uderzenie prawdy jest jak cios młotem w
skroń – nic już potem nie jest takie było przedtem, wszystko się sypie na zawsze.
Nigdy nie powinniśmy byli jechać na te pieprzone ryby.
To był najgorszy z wyborów, ale kto o tym wiedział, postawiliśmy na złą kartę.
Czasem jest to „teraz”, i nasze było tej parszywej nocy, tam, gdzie leżały twoje zwłoki.*

Potem poznałem, jak smakuje duszna samotność, ucisk niewidzialnych kleszczy.
Jak cuchnie zwłaszcza nad ranem, kiedy śpi się w pustym domu, bez szans na chwilę rozmowy z kimś
bliskim, bez nadziei na ciepło, jakie potrafi dać drugi człowiek.
Bez tej miłości, dla której warto było żyć i poświęcić wszystko.
Kiedy do duszy sączy się jad, który trudno nazwać słowami, trupi zaduch, umieranie.
To czas, kiedy chciałoby się umrzeć – zapaść pod ziemię i stracić oddech.
Więcej tu nie wracać, by nie cierpieć po raz kolejny, nie mieć w sobie tej trucizny, która odbiera życie i
nie pozwala normalnie oddychać, gniotąc zdrową pierś betonową płytą.

Ile to lat?
Ile zim i wiosen bez ciebie, w pustce, w błędzeniu donikąd?
Ile piątków i wtorków, kiedy nie było przy mnie nikogo.

Gdy upłynął piąty rok, poczułem, że nie cofnę już czasu, że muszę podnieść się z kolan.
Początkowo trochę piłem, później poczułem, że nie daje mi to wytchnienia – życie w oszustwie wy-
czuwałem na kilometr, więc dość szybko odstawiłem alkohol, czując, że nie tędy droga, nie tak odnajdę
spokój, który utraciłem, kiedy tak nagle odeszłaś.
Czułem, że jeśli nie odnajdę siebie, nie odnajdę swojej drogi w życiu i upadnę na dobre.
Coś się we mnie jeszcze tliło, więc nie chciałem, by to przepadło.
Nie wiedziałem kiedy nadejdzie dzień, kiedy ujrzę słońce, ale chciałem, by tak się stało.

Wracałem do chłodnego kościoła, by spotkać się z Nim.
Prosiłem o znak, o coś, co pchnęłoby moje liche życie na zdrowe tory.
Jakże wtedy pragnąłem umrzeć, by tylko tobie przywrócić tchnienie.
Jakże marzyłem, by ten ból w końcu mnie opuścił, i tam, w małej świątyni miałem odwagę żądać – targo-
wałem się z Nim, bezpardonowo, jak równy z równym, zażarcie i bez względu na przyszłe „konsekwen-
cje”, mój krzyk szedł w przestrzeń, bo czułem, że tej walki już nie odpuszczę: albo przegram z krete-
sem, albo...
Wracałem wiele razy, lecz On pozostał niemy.

Martwy jak kawał marmuru, jak posąg, w którym nie ma oddechu.
Chyba nie byłem mu miły, bo udał, że mnie nie dostrzega.
Mój krzyk, moje słowa spłynęły milczeniem po kościelnej posadzce.
Znów byłem sam, znów byłem w piekle.
I tylko słowa do ciebie szeptane, gdzieś nad ranem dawały mi poczucie, że wciąż istnieję.
Że jakoś to moje małe życie nadal trwa, jakoś się toczy, choć już dawno powinno się skończyć.
Jednak się nie kończyło – czytałem to jak znak, jak przepowiednię.
Zapowiedź tego, co miało nastąpić.

Najpierw była Karen, spod znaku Byka.
Od początku koniecznie chciała wiedzieć, czy jestem dobry w łóżku i czy zaspokoję ją trzy razy pod rząd.
Prawdziwe *femme fatale* czuje się intuicyjnie, a i również te, które mają w sobie to coś, co sprawia, że mężczyzna traci głowę, lub najzwyczajniej zakochuje się.
Tu zabrakło ognia: panienka tak jak przyszła, tak sobie poszła.

Wendy, spod znaku Strzelca, również nie miała najmniejszych szans, bo była za chuda i zbyt wyszczekana, jej mowa przypominała wystrzały z legendarnego kałasznikowa.
Otwarcie twierdziła, iż pójdzie z facetem, który ma dużego członka i jest umięśniony.
Nie pasowałem do tego obrazu, więc trochę pogadaliśmy, obiecałem, że zadzwonię, oczywiście nie wyprowadzając jej z błędu, że nie posiadam wielkiego przyrodzenia, a na koniec posłałem jej całusa mówiąc, iż faktycznie, może jestem jej ideałem.

Jilly, spod Wodnika usiłowała szpanować zdjęciami z zagranicznych wycieczek, co w najmniejszym stopniu mnie nie intrygowało, bowiem tego typu popisy niezmiennie uznawałem za oznakę upadku.
Rozmowa nie kleiła się, więc ograniczając ją do niezbędnego minimum, poklepałem ją po policzku i poszedłem do domu – swój czas trzeba cenić.

Krążąc w wyciszeniu cmentarnymi alejkami, wiele myślałem o tobie, Helen, o tym, czym obecnie stało się moje życie, i że tak naprawdę to nie mam zielonego pojęcia, co z nim zrobić.
Patrząc na twój medalion wspominałem naszą niezapomnianą przeszłość, to, co mi latami dawałaś, kiedy byłaś całym moim światem, sensem życia, niewysłowioną radością.
Wzdychałem do tych wspomnień i nic nie miało wówczas dla mnie znaczenia.
Widziałem twoją uśmiechniętą twarz i sam próbowałem uśmiechać się gdzieś w sobie.
Byłaś we mnie, choć nasz czas przeminął, byłaś przy mnie, choć cię nie było.
Wciąż chodziłem uliczkami, którymi chodziłem z tobą, wciąż piliem herbatę, którą razem piliśmy, kiedy świat był młody, a noc zielona, a my, nierozłączni, nie dbaliśmy o jutro.
Już nigdy potem nie dane mi było czuć się w ten sposób, już nigdy tak samo.
Tylko przy tobie byłem sobą, i tylko ty to sprawiałaś.

Byłem cenionym adwokatem, lecz tylko na tym polu mogłem pochwalić się sukcesami, które z biegiem lat stawały się nużącą rutyną, czymś, co z wolna traciło swój niedawny blask.
Żyłem samotnie w pięknej willi w dzielnicy pełnej zieleni i spokoju, jednakże z każdym kolejnym miesiącem czułem narastające napięcie, jakbym wyczuwał nadchodzącą zmianę.
Nie umiałem tego zdefiniować, ale miałem pewność, że na coś się wyraźnie zanoszą.

Pewnego dnia wracając z miasteczka na Południu, gdzie odwiedzałem rodzinę, jechałem jakąś podrzędną

drogą, wiodącą do autostrady, gdy nagle ujrzałem stojący na poboczu samochód.
Obok młoda kobieta machała ręką w nadziei, że ktoś się zatrzyma.
Wysiadalem i dość szybko zorientowałem się, że złapała gumę i nie umie wymienić koła.
- Pomoże mi pan? – spytała błagalnie.
- Jasne – odparłem wesoło.
- Jest pan aniołem.
- Chciałbym, by tak było.

Wtedy jej się bliżej przyjrzałem: była niedużą blondynką, o ładnych, regularnych rysach twarzy, zalotnym uśmiechu, iskrzących się radością oczach i delikatnych, drobnych dłoniach.
Mogła mieć najwyżej trzydzieści pięć lat i nawet nie wiem, kiedy poczułem dziwne ciepło, rozlewające się po wnętrzu, jakbym wypił kilka solidnych kolejek whisky.
Byłem pewien, że od lat nie czułem się tak przy żadnej kobiecie.

- Nikt nie chciał się zatrzymać. Stałam tu prawie trzy godziny. Ludzie są dziś tacy podli. Pomóc to tak mało kosztuje. A jednak. Każdy zapatrzonny tylko na własne sprawy. Myślałam, że już po mnie. Że pójdę na łaskę kogoś z okolicy i może wtedy doczekam się pomocy.
- A wie pani, że miałem jechać inną drogą? W ostatniej chwili zdecydowałem się na tę trasę.
- To prawdziwy cud! Gdyby nie pan, nie wiem, co by było. Aż boję się pomyśleć.
- Nie spotkalibyśmy się.
- Właśnie.
- Ale tak widocznie miało być – czasem coś po prostu musi się wydarzyć, czy tego chcemy, czy nie.
- Jak ja i pan tu, na tym odludziu.
- Nazwie to pani przypadkiem?
- Nie wierzę w przypadek.
- A w co?
- W to, że jesteśmy zapisaną księgą.
- Czyli przeznaczenie?
- Tylko ono istnieje tak naprawdę.
- I co pani podpowiada wewnętrzny głos?
- Zapraszam pana na kawę. Tu niedaleko jest taki mały zajazd „Pod Różowym Krokodylem”.

Kiedy już siedzieliśmy przy stoliku, powiedziała po godzinnej rozmowie, uśmiechając się:

- Ten samochód to istne nieszczęście, ale przy mojej marnej pensji nauczycielki nie stać mnie na lepszy. Może kiedyś, jak zaoszczędzę trochę, kupię nowszy.
- A czego pani uczy?
- Angielskiego. Małe dzieci z wczesnych klas.
- To zupełnie jak moja mama.
- Kobiety, które pracują z dziećmi mają podobno piękne dusze.
- Tak, to prawda. Ona miała najpiękniejszą i najczulszą.
- To znaczy, że...
- Odeszła kilka lat temu. Miałem tylko ją. Trafiałem w życiu na złe kobiety. Ot, pech. Pewnie miałbym szczęście w kartach.
- Jest pan kawalerem?
- Niedawno skończyłem czterdzieści dwa lata i od dawna nic mnie nie cieszy. Lekarze podobno zwą to anhedonią. Jestem jak ognisko, którego od dawna nikt już nie rozpałał.

- Człowiek nie jest stworzony do życia w samotności. Wiem to po sobie. Nawet pan nie wie, jak bardzo bym chciała... Ile we mnie tego...
- Jestem Dany.
- A ja Helen. Miałam mężczyznę, ale pił i zmarnował mi kilka lat.
- Helen? Co za zbieg okoliczności! Tak nazywała się moja mama. Piękne imię, z klasą.
- Mieszkam w Newhawk, a ty?
- Ja też. Ta rozmowa staje się coraz ciekawsza. Dasz mi swój numer telefonu?
- Zapisz – to powiedziawszy, podyktowała mi go, a ja wpisałem do notesu.
- Mam wrażenie, jakbym znał cię od zawsze. I jest mi z tym bardzo dobrze.
- I ja czuję się tak samo. Chcę cię poznać bliżej, Dany, coś mi mówi, że...
- Nie kończ. Słowa mogą zapeszyć. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale nigdy tak się nie miałem, przy żadnej, teraz to jak obudzić się z długiego, złego snu. Kim ty jesteś, Helen?
- Nie jestem głupim naiwniakiem, ale coś mi mówi, że miałem dziś jechać tą drogą.
- A ja złapać kaptur. Jeszcze chwila, dwie, a będę tego pewna.
- A pomyśleć, że w Newhawk mijaliśmy się latami. I pewnie nigdy byśmy się nie poznali.
- Bo czasem tak jest, Dany, że po deszczu wychodzi słońce. Że czujesz, jakby życie zaczynało się na nowo, jakby nie było tych wszystkich, ohydnych dni, które chciałoby się zapomnieć.
- Chyba zacznę wierzyć w to całe przeznaczenie. Czy czujesz to samo, co ja?
- Co takiego?
- Że po tej rozmowie nie pójde w swoją stronę, a ty w swoją.
- Wiem, że tak nie będzie, Dany, znam już siebie i życie. Pewne rzeczy dzieją się tylko raz i nie będzie już powtórek. My, Ryby, mamy ponoć szósty zmysł.
- Jesteś Rybą? Tylko nie mów, że...
- Urodziłam się drugiego marca. Podobno padał wtedy straszliwy śnieg.
- *Drugiego marca...* - wyszeptałem wstrząśnięty, jakbym zobaczył obok ducha.

Objąłem głowę drżącymi rękoma, bo czułem, że coś nieznacznie pulsuje w skroniach, coś niewątpliwie sprawia, że świat obłędnie wiruje, a ja widzę znów tamtą najdroższą twarz, twoją, *mamo*, to chwyta za gardło, to jednocześnie napęla radością, której smak już prawie zapomniałem, i nie było mnie przy tym stoliku, nie wiem, jaki mieliśmy dzień, jaki miesiąc, chciałem, by to trwało i trwało, by nie miało końca. Nagle jakby ocknąwszy się ze snu, dotknąłem dłoni Helen, wsunąwszy w nią palce.

Wtedy zapytałem, patrząc w jej spokojne oczy:

- Czy ty i ja... Czy to się naprawdę dzieje?
- Tak, Dany, nie potrzeba nam słów.
- Czyli my, tak po prostu?
- To nie przypadek.
- Kobiety to wiedzą?
- Prawie zawsze mają tę magiczną pewność.
- Czyli tak miało być?
- Bez wątplenia tak, i myślę, że nie musisz już pytać. Wiesz, że przyszłość można ujrzeć w jednej sekundzie? Jakby puszczono nam kolorowe slajdy z tego, co dopiero ma nastąpić, a na nich my, ty i ja. Nasze kwietnie, lipce i wrześnie, nasze lata i zimy, i to, co pomiędzy: zwykłe szare dni, jednakże wypełnione tym, co między nami.
- Nazwałaś to, co czuję, bo jeśli czegoś jestem dziś pewien, to ciebie, Helen.
- Więc nie mów już nic, pocałuj mnie, a potem chodźmy na romantyczny spacer, gdzieś przed siebie. Nieważne gdzie. Ta noc należy do nas.

Cykl: Pokochania

28 lipca 2017

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 13.09.2017 10:20

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.